

Jestem szczęśliwym człowiekiem

Stereotypowo postrzega się siostry zakonne przez pryzmat ich posłuszeństwa i uległości. W tak utrwalonym wyobrażeniu nie mieści się obraz zakonnicy-buntowniczkii. A jednak w życiu Siostry nie brakowało momentów sprzeciwu, chociażby wobec planów rodziców...

Myślę, że o ile – teraz może troszeczkę się to zmienia – prestiżem było mieć syna księdza, o tyle raczej nadal nie ma entuzjazmu wśród rodziców, kiedy dowiadują się, że córka chce pójść do zakonu. Oczywiście nie chcę generalizować, bo być może są tacy, którzy się cieszą, ale zazwyczaj podświadomie oczekują, że córka zajmie się nimi na starość, że urodzi im wnuki... Nawet jeśli są ludźmi wierzącymi, mogą w ten sposób pojmować. Myślę, że o to właśnie chodziło moim rodzicom. Co nie znaczy, że potem nie może się to zmienić. Mój tata już nie żyje, ale patrząc na całą historię opieki nad rodzicami, którą mam za sobą, można powiedzieć, że bardzo duże zmiany zaszły w zgromadzeniach zakonnych. Jeśli bliscy rzeczywiście potrzebują naszego wsparcia, dostajemy pozwolenie od przełożonych, żeby pojechać

do nich na kilka dni. Jeżeli dom zakonny jest w miejscowości, w której mieszkają, a są w złym stanie zdrowotnym, również mamy możliwość ich wspomagać. Poza tym rodzice czasem mają pomysł na swoje dzieci. Tak było w moim przypadku. Miałam zostać panią adwokat. Ale ostatecznie poszłam tam, dokąd chciałam pójść. Jestem tu już ponad czterdzieści lat. I mogę powiedzieć, że kiedy rodzice widzą, że ich dziecko jest szczęśliwe, akceptują tę drogę i są zadowoleni.

Kiedy podejmujemy jakieś ważne decyzje, czekamy na różne znaki, podpowiedzi, co zrobić. Jak to wyglądało u Siostry? Jakie były kluczowe momenty rozeznawania, do czego Siostra jest powołana?

Znałam serafitki, ponieważ mieszkałam niedaleko sióstr i poznałyśmy się w kościele. Gdy byłam przedszkolakiem, siostry uczyły mnie religii. Potem dawały dziewczynom, które angażowały się w życie parafialne, propozycje wyjazdów na rekolekcje powołaniowe. I właśnie wtedy, w ósmej klasie szkoły podstawowej, pierwszy raz przyjechałam do Poznania do serafitek na ulicę Świętego Rocha. W szkole średniej przyjeżdżałam tu raz w roku z moją koleżanką. Przyglądałam się opiece sióstr nad niepełnosprawnymi dziećmi. Zawsze miałam w sobie potrzebę pomagania ludziom. To była moja pierwsza motywacja – wcale nie jakaś nadprzyrodzona – wstąpienia do zgromadzenia: żeby pomóc niepełnosprawnym, którzy wymagają totalnego wsparcia emocjonalnego i miłości, nie tylko pomocy zdrowotnej. Chciałam wstąpić do zakonu, ale jak już wspominałyśmy, sprzeciwili się temu moi rodzice. Pod ich wpływem zgodziłam się zdawać na prawo, ale jako buntowniczką wcale się do tego nie przygotowywałam. Jakoś zaliczyłam egzamin pisemny, ale ustny oblałam. Wróciłam do domu z udawaną smutną miną i powiedziałam, że się nie udało. Mama chciała, żebym spróbowała za rok. Akurat wtedy w Toruniu otwarto Wydział Pracowników Socjalnych przy Studium Medycznym. Powiedziała, żebym się zapisała „na przeczekanie”. Tam przeszłam pierwszą próbę od Pana Boga. Chodząc na praktyki zawodowe, miałam pakiet realnych narzędzi pomocowych. Myślałam sobie wtedy, że w zakonie nie będę miała takich możliwości. Stwierdziłam więc, że zostanę pracownikiem socjalnym. Po pierwszym roku

studium podzieliłam się z kolegą z grupy przykościelnej swoimi refleksjami i pomysłami. On sam chciał iść do redemptorystów. Powiedział mi wtedy: „Jejku, Pan Bóg daje ci łaskę, chce cię powołać, a ty to wyrzucasz w błoto”. To mnie bardzo poruszyło i pomyślałam: „Jak mogę Panu Bogu coś takiego zrobić?”. Tego samego dnia zebrałam całą rodzinę i oznajmiłam, że podjęłam ostateczną decyzję: idę do zakonu. Rodzice chyba zrozumieli, że nie ma co ze mną walczyć. Powiedzieli: „Twoja decyzja – chcesz, to spróbuj”. Wstąpiłam więc do serafitek.

I to bardzo pewnym krokiem...

To była zabawna sytuacja. Zwykle trzeba umówić się z przełożoną prowincji na spotkanie i ustalić termin wstąpienia. Ja przyjechałam ze znajomą siostrą zakonną i z bratem mojej mamy, który miał samochód. Byłam już gotowa na przyjęcie do klasztoru, jechałam z bagażami. Wujek złapał gumę dosłownie ulicę przed klasztorem. Wzięłam więc tylko teczkę z dokumentami i z siostrą poszłyśmy dalej pieszo. Najpierw porozmawiałam z przełożoną, a ona na koniec zapytała: „Dobrze, Basiu, to kiedy byś tutaj przyjechała?”. Odpowiedziałam, że już jestem, wujek zaraz przywiezie bagaże. Była zdziwiona, ale się zgodziła.

Ale sprawa Studium Medycznego i zawodu pracownika socjalnego jednak powróciła?

W pierwszym okresie postulatów kazano mi zaocznie ukończyć Studium Medyczne, które w Poznaniu mieściło się wtedy przy Alei Stalingradzkiej, czyli na dzisiejszych Alejach Niepodległości. Siostry mówiły, że warto, bo w domu pomocy społecznej potrzebny był pracownik socjalny na etacie.

Można więc powiedzieć, że nie musiała Siostra rezygnować z tego, co chciała robić. Wszystkie wątki połączyły się w tym miejscu?

Tak, chociaż nie jest stałą praktyką, że w zakonie robimy to, co byśmy chcieli. Ale mi się udało w stu procentach zrealizować swoje plany. Miałam też pięcioletnią przerwę na studia dzienne w Lublinie. Byłam pierwszą siostrą, która poszła na pedagogikę. To były czasy, kiedy w habitach nie